Nr. 39. We Lwowie dnia 24. Września 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

3)

BOLESŁAW PRUS.

(Dokończenie.)

Pominę jego pierwsze rzeczy powieściowe, jak »Pałac i rudera« oraz »Dusze w niewoli«, gdzie znać jeszcze uporczywe łamanie się z formą, w których jednak widać już dar obserwacyjny i umiejętność malowania ludzi. Tu autor jeszcze lubuje się w melodramacie, który zresztą ukazuje się i w »Powracającej fali« (stary Adler podpala swoją fabrykę i ginie w jej płomieniach) i w »Pomyłce« (powieszenie mniemanego szpiega) i nawet w „Lalce“ (Wokulski rozsadza dynamitem zamek i ginie w jego gruzach).

Najmisterniejszem co do roboty dziełem Prusa jest »Placówka«; treść prosta, epiczna, składa się z szeregu epizodów, malujących upartą walkę chłopa Ślimaka, posiadacza drobnego szmata ziemi, z najazdem niemieckim. Sąsiedzi jego z tego samego sioła, wszyscy wyprzedali swe grunta kolonistom; on jeden za przewodem swej baby, która go jeszcze przed śmiercią zaklina, żeby się trzymał swej ziemi, on jeden zostaje jako placówka w środowisku Niemców. Prostota treści, mała liczba aktorów i jednolitość całej koncepcji czyni z »Placówki« najlepsze dzieło Prusa pod względem technicznym; jeszcze jedną należy mu przyznać wysoką zaletę: potężne tchnienie natury. W „Placówce“ czuć zapach surowej, rozoranej ziemi, słychać pękające pod ciepłem wiosny lody na ściętej rzece, słychać szum fioletowo-zielonej trawy czerwcowej i pieśń złotych kłosów na niwach, wiatrem rozkołysanych.

Słusznie jeden z krytyków zalicza »Placówkę« do potomstwa »Pana Tadeusza«; jak w naczelnej epopeji polskiej tak i tu znajdziemy, oprócz krajobrazu, starcie plemienne, równie poważne, a znacznie surowsze niż u Mickiewicza. Znajdujemy tu wysoko podniesioną rolę kobiety, jej oddziaływanie społeczne na energję mężczyzny,—obrona tego kęsa ziemi, na którym siedzą Ślimakowie, to właściwie jej dzieło. Nagromadzenie klęsk, jakiemi los uderza w Ślimaka, czyni z »Placówki« utwór nietylko epiczny, ale i tragiczny zarazem. Szczęśliwą też była myśl przerobienia »Placówki« na scenę. Autorzy dali nam dokładną trawestację dzieła Prusa, ale w ciasnych ramach desek teatralnych cały tragizm Prusa uległ znacznemu zmniejszeniu. Bitwa na scenie robi zawsze wrażenie sztuczki; kilkunastu ludzi zbrojnych, którzy mają wyobrażać kilkutysięczną armję, nie może dawać istotnego złudzenia; widz w tejże chwili przypomina sobie, że jest w teatrze. Takie samo rozwianie złudzeń mamy w »Placówce« scenicznej. Zalew niemiecki wyobraża tu dwóch Niemców, a nagromadzenie klęsk (powódź, śmierć Staśka, kradzież koni, aresztowanie Jędrka, śmierć matki, pożar chałupy) w krótkim przebiegu czasu, sprawia wrażenie takie, że nieszczęsny Ślimak powinienby dostać obłąkania. Po zatem jednak sztuka robi niezłe wrażenie, a tyrady przeciw Niemcom budzą rzęsiste oklaski.

„Lalka“ pod względem architektonicznym, przypomina jakąś bezładną, ogromną budowlę, do której coraz nowe dodawano piętra, wieże, filary, arkady i glorjety, ale która pomimo tego bezładu ma niesłychany urok naturalności, jest ona bezładną jak życie samo, jak natura. Istotnie, »Lalka« wyobraża całe życie w jego najgorętszym wirze i ruchu, maluje społeczność polską, a *par excellence* warszawską, we wszystkich jej warstwach od góry do dołu i od dołu do góry i zawiera w sobie echo i ognisko wszystkich prądów umysłowych i społecznych z ostatnich lat kilkunastu. Zawiera przytem pewne fenomena nowe u Prusa albo też takie, co tu dopiero skrystalizowały niektóre tendencje jego umysłu. Chcę tu mówić o Izabeli i Geiście.

Dotychczas Prus mało zajmował się sprawą miłości; traktował ją pobieżnie, bez zbytecznego zagłębiania się w jej tajemnice; nigdy nie robił z niej romantycznego ołtarza, który ma denerwować czytelników. W Izabeli dopiero odmalował miłość denerwującą, flirt istoty samolubnej, kokietki bez serca, która własne tylko zadowolenie

ma na oku. Geist znów, półmistyczny marzyciel, uczony, który chce stworzyć metal lżejszy od powietrza, jest przypomnieniem, w rozmiarach szerszych, fantastycznych, dawnego zamiłowania Prusa do matematyki i badań przyrodniczych.

Główny bohater »Lalki«, Wokulski, jest to postać wielce złożona. Malując w powieści swej główny fenomen społeczny, jaki się na ziemi polskiej dziś odbywa: kształtowanie się klasy mieszczańskiej, w Wokulskim wyobraził Prus energję i żywotność ekonomiczną tego mieszczaństwa; ale ta formująca się warstwa i ten główny jej przedstawiciel jeszcze ma w sobie wiele elementów obcych, nie mających związku z właściwym charakterem tej warstwy. Wokulski jest to były powstaniec, który dłuższy czas przebywał na Sybirze i jako taki zawiera on w sobie pierwiastek rycerski, nadto od dzieciństwa kochał się w naukach ścisłych, matematyce, fizyce, myśli o kierowaniu balonami i innych cudach technicznych, zapala się do wynalazku Geista, słowem, żyje w nim pierwiastek uczonego; nakoniec, obok szczęśliwych spekulacyj, które go robią milionerem, jest on zakochany w Izabeli, w uosobieniu egoizmu, a źródłem tej miłości jest nietylko piękność i kokieterja panny, ale też niezaspokojone dotąd (w 40-tym roku życia) pragnienie miłości i wpływy czytanej za lat młodych poezji romantycznej. Ten człowiek poczwórny, rycerz i uczony, kupiec i kochanek oto Wokulski i warto zaznaczenia, jak wszechstronnym, jak całkowitym człowiekiem jest ten bohater »Lalki«; dodać jeszcze należy, że jest równie uzdolnionym do energji czynnej, do działania zewnętrznego, jak i do analizy psychologicznej, która się zdawała specjalnością Płoszowskiego.

Porównywając Płoszowskiego z Wokulskim, stanowczo musimy przyznać wyższość bohaterowi Prusa. Wokulski zapewne jest mniej elegancki i nie umie flirtować tak pięknie jak bohater Sienkiewicza, ale Wokulski kocha ludzi, gdy tymczasem Płoszowski kocha samego siebie jedynie.

Jeżeli w „Lalce“ dał Prus typ Izabeli, kobiety zimnej, bez serca, zalotnicy w lata już zachodzącej, to w »Emancypantkach« znowu przedstawił młode osiemnastoletnie dziewczę, urocze i kochające, w którego sercu mieszczą się nieprzebrane skarby miłości. Madzia posiada ów genjusz najrzadszy ze wszystkich, genjusz serca. Jak student z fantazji »Sen«, poza wszelką doktryną filozoficzną, czy socjalną, czuje zogromnienie swej istoty czystą miłością rzeczy najprostszych, tak samo Madzia. Ona, ściśle biorąc, nic nie wie o emancypacji, ale kierownikiem jej czynów jest zawsze miłość bezgraniczna ludzi, i dlatego właśnie, że ludzi kocha naprawdę, prawie zawsze staje ona w kolizji z ich konwenansem, płaskim i bezmyślnym. Nigdy ona nie jest *correcte*, bo jej serce przerasta granice form pospolitych. Surowa i zbyt surowa dla siebie, jest Madzia pełna przebaczenia i łaski dla innych. Jak każdy genjusz, jest ona w życiu bezsilna; starcia z rzeczywistością są dla niej zawsze bolesne, ona cierpi nieustannie i cierpień tych nie pojmuje, chwilami sama siebie za jakiegoś potwora uważa i cierpienia swoje uznaje za zasłużone.

Ona niema żadnej doktryny, ona tylko umie kochać, bo miłość jest treścią jej istoty. Ale w tem sercu, które tak bezgranic kocha człowieczeństwo, miłość dla oddzielnego człowieka skrystalizować się nie może, Madzia ukrywa się za murem klasztornym. Zakończenie jest niezadawalniające i w ogóle, pomimo że postać Madzi odmalował Prus z niepospolitym urokiem, to jednak nadał jej zbyt wiele naiwności, która czasem razi nieprzyjemnie. Zaznaczyłem wyżej pokrewieństwo Madzi z Anielką, 13-letnią dziewczynką z dawniejszej powieści, bo czasami zanadto ją przypomina. Budowa samej powieści, skutkiem fatalnego sposobu pisania z numeru na numer, również szwankuje i pod względem faktury w szeregu dzieł Prusa, książka ta jest dziełem najsłabszem. Mimo to Madzia nie przestaje być cudowną kreacją. Z innych postaci w powieści, godny uwagi Dębicki — uczony marzyciel.

Jesteśmy blizko końca. To zacieśnienie mowy, jakie wpływy cenzuralne powodują w naszem piśmiennictwie, sprawiły, że pisarze, chcąc wyrazić coś przerastającego miarkę rzeczy pozwolonych, muszą się maskować w szaty rzymskie, biblijne czy egipskie. Tak uczynił Prus, chcąc szeroki obraz społeczny odmalować, przeniósł się w czasy Faraona Ramzesa. I tu, jak wszędzie, nie stoi Prus na stanowisku żadnej doktryny, prócz stanowiska miłości. Można o nim powiedzieć, że jest to prawdziwy chrześcjanin pierwotny, który zna tylko doktrynę miłości. Ale doktryna ta, która innym każe przebaczać i pobłażać, wymaga surowości dla siebie. Taką też naukę daje Prus swojemu społeczeństwu.

Zaprzestańmy — powiada — mówić raz o swoich nieszczęściach, a cudzych winach, a spróbujmy być adwokatami, jeśli nie cudzej niedoli, to własnych win. Gdy człowiek powie sobie: klęskom moim ja jestem winien i nikt inny, w tej samej chwili czuje się jędrniejszym i bardziej zdecydowanym. Wówczas w nim samym milkną dzikie pretensje do litości, a choćby do cudzego współczucia, a natomiast budzi się wiara we własne siły. Odwołujemy się do s p r a w i e d l i w o ś c i, zapominając, że pani ta nie jest dziedziczką samodzielnego i potężnego królestwa, ale jest tylko damą do towarzystwa, która wówczas wychodzi do gości, gdy się tak podoba gospodarzom.

Słowa te znaczą: Miej wiarę w siebie! I cała działalność Prusa to ma na celu, aby dać społeczeństwu swemu wiarę w siebie.

I rzecz dziwna — oto człowiek ten, który całe życie budził w narodzie tę wiarę w siebie — ostatniemi czasy zabłąkał się między ugodowców. Badając przyczyny tego kroku znajdziemy je w samej naturze jego umysłu. Jest on przede-

wszystkiem realistą i »realne,« codzienne troski są dlań ważniejsze, niż oddalony, »mglisty« cel polityczny, od stu lat piastowany we wszystkich piersiach; nie zarzekając się ideału, chce on przedewszystkiem umożliwić egzystencję pokoleń żyjących, wierząc, że, zdobywszy dobrobyt, i inne cele osiągną. Powtóre, jako człowiek wrażliwy na najwidoczniejszą niedolę poszczególnych istnień ludzkich, mniej on odczuwa to jedno i powszechne cierpienie narodowe, którego ciężar skutkiem podziału na wiele miljonów jednostek, skutkiem wspólności staje się mimowoli przez to samo łagodniejszym; ponieważ on sam — Bolesław Prus — od tego cierpienia powszechnego cierpi, zatem płakać nie może nad sobą i dlatego szuka on takich cierpień, w których sam osobiście udziału nie bierze; te cierpienia stają się dlań pierwszorzędnemi. Ale ma on też punkty widzenia mistyczne, filozoficzne, chrześcjańskie, które mu nakazują przebaczenie uraz, zapomnienie krzywd, poszukiwanie braterstwa i iskry bożej we wszystkich wogóle duszach ludzkich.

Te były — jak sądzę — główne powody, które skłoniły Prusa, że przy swojej gołębiej duszy stanął po stronie ugody.

Dodać tu należy wpływ zewnętrzny, prąd ogólny, jaki się w społeczeństwie objawił. Jak iskra elektryczna podziałał on z niesłychanym impetem na wrażliwą, jak barometr, duszę Prusa. Wiara powszechna w nowy kurs obudziła i jego wiarę i trwał w niej aż do chwili, kiedy ta wiara zamarła w społeczeństwie całem i rozwiała się w powszechnem rozczarowaniu.

Rozczarowanie to jednak ma wielkie, dodatnie znaczenie w ogóle, a w szczególnym wypadku — jak przypuszczam — należy je błogosławić, ono bowiem zwraca nam Prusa takiego, jakim go wszyscy kochali i czcili.

A. Lange.

Wystawa litewskiej literatury i prasy w Paryżu

w roku 1900.

Na wszechświatowej wystawie w Paryżu Litwini postanowili przedstawić litewską literaturę i prasę od r. 1864 do 1890, t. j. od czasu, kiedy rząd rosyjski zakazał drukowania litewskich wydawnictw łacińskiemi czcionkami. W tym celu w początku roku bieżącego sformował się komitet, składający się z 5 członków, mianowicie: 1 w Niemczech, 1 w Szwajcarji, 2 w Paryżu i 1 w Londynie. Dzięki staraniom tego komitetu zapewniono na wystawie odpowiednie miejsce; uzupełniono katalog A. Jana Zanawikutisa wydawnictw litewskich w Prusach; zebrano podług tego katalogu kolekcję owych wydawnictw, do której tymczasowo brakuje koło 100 numerów z pierwszych lat 15; zebrano 160 rubli składek (oprócz tego do redakcji pism litewskich, wychodzących w Tylży wpłynęło kilkadziesiąt rubli i ofiarowano na ten cel cały nakład pewnej litewskiej książki, wartości kilkuset rubli).

Litwini, zamieszkujący w północnej Ameryce zebrali na ten sam cel koło 800 dolarów. Niedawno i w Ameryce sformował się wystawowy komitet, do którego zostali obrani: ks. J. Żyliński prezesem, Mikołajnis sekretarzem, J. J. Pauksztis kasjerem (z kaucją 5 tys. dol.), Dr. J. Szlupas współpracownikiem, Dr. Bassanowicz delegatem na paryską wystawę.

Komitet ten zajął się obecnie ułożeniem katalogu wydawnictw litewskich w Ameryce i zebraniem ich.

Inicjatorzy zamierzają nadać powyższej wystawie charakter etnograficzny, ustawiając figury kilku typów litewskich w strojach narodowych. Oprócz tego zamierzają zebrać i wystawić litewskie utwory muzyczne i za pomocą fonografu reprodukować śpiewy narodowe.

Osoby, posiadające pruskie wydawnictwa litewskie z lat 1864—1880, lub życzące porozumieć się w sprawie powyższej wystawy, zechcą zgłosić się pod adresem: Herrn Otto Lang (Lith. Ausst. Com.) Hegibachstrasse 22. Zürich, Schweiz.

A. Letuwis.

10)

Gdy lipy kwitły.

(Dokończenie.)

Po chwili strasznej wewnętrznej walki, przemogła nieśmiałość i siląc się na najzupełniejszy spokój, spytała:

— Dokąd pan Gromski wyjechał?

Czekała na odpowiedź bez oddechu.

— Nie powiedział tego pani? Pojechał na Ukrainę, do wuja. Lecz wnoszę z dzisiejszego listu, że wkrótce powróci.

Powróci? Zawirowało jej w głowie, zaszumiało w uszach, nie była pewną czy nie przesłyszało się jej? »Wkrótce powróci«, tak było?

Nie odważyła się jednak powtórzyć pytania, była zbyt pewną, że głos ją zdradzi.

Warenicz tymczasem opowiadał jakąś długą historję ze swoich szkolnych czasów.

Wala nie słyszała jednak jednego słowa. Podniosła się z ławki z wysiłkiem; bolało ją w ramionach, w nogach, czuła się zupełnie rozbita.

— Jestem strasznie zmęczona; dobranoc panu — rzekła z bladym uśmiechem, podając mu rękę na pożegnanie.

Warenicz patrzał na nią trochę zdziwiony, jak w blasku wschodzącego księżyca z twarzą białą jak marmur oddalała się z werandy. »Gromski ma słuszność — pomyślał — jest trochę dziwna, ale cudna dziewczyna«.

Jakoż Gromski powrócił. Właśnie wracano z łódek i hałaśliwą gromadą przez ogród wtargnięto do jadalnego pokoju, kiedy niespodzianie spostrzeżono u stołu Gromskiego, jak posilał się naprędce mu sporządzonym podwieczorkiem. Podniósł się gwar powitalny; odezwały się wykrzykniki, powitania, słowa uprzejme i nawet serdeczne. Przeciskano się, aby go powitać, zasypywano pytaniami i wesołemi uwagami; zdawało się, iż był niezbędnym towarzyszem, którego oczekiwano z tęsknotą.

Wala przysłuchiwała się na uboczu i ironiczny uśmieszek skrzywił jej usta. Zatrzymała się z panią Mokrzecką u okna i wzrok trzymała wbity w pęki traw wodnych, które jej ta z zamiłowaniem przyrodniczki wyliczała i jednocześnie czuła, że stopniowo cierpnie cała od wewnętrznego chłodu.

Nagle pani Mokrzecka przerwała sobie żywem i uprzejmem zapytaniem:

— Pan wrócił? Nareszcie! To ładnie świadczy o panu. Rehabilitujesz się pan w moich oczach za swoją dezercję.

Wala czuła, że Gromski stoi przed niemi i że oto w tej chwili głos jego usłyszy. Zdobywała się na wszelkie wysiłki, aby nie zarumienić się lub nie zblednąć.

I oto Gromski mówi:

— Dziękuję pani. Odbyłem przyjemną podróż, a teraz mam powrót przyjemny.

Jak przedziwnie w głowie jego brzmi spokój i zadowolenie człowieka, któremu nic zgoła nie ciąży! Mój Boże, przecież nie będzie tak stać przed nim struchlała i mienić się w twarzy jak złapana. Podniosła głowę i spokojnie, o mało nie wyniośle, spojrzała mu w twarz prosto.

On także spojrzał na nią wielkiemi, rozszerzonemi źrenicami, pełnemi niewymównego wyrazu pytania, żalu, męki...

I powieki jej opuściły się nagle; czuła, że nogi pod nią dygocą; nieznacznie wsparła się ręką o krawędź okna.

Domyśliła się, że skłonił się przed nią; ona też poruszyła z lekka głową — i takie było ich przywitanie. A wkrótce już żywy ruch obecnych ich rozdzielił; w dalszym ciągu rozlegały się w pokoju śmiechy, gwarne rozmowy, pytania i odpowiedzi, rzucone z kąta w kąt pokoju; opowiadano o zaszłych wypadkach i tworzono nowe projekta. Na tem tle głos Gromskiego od czasu do czasu brzmiał czysty i spokojny jak lód. Wala wysunęła się nieznacznie z pokoju.

Wkrótce potem całe towarzystwo wyruszyło na grzybobranie do dalekich lasów. Wymówiła się pierwszem lepszem zajęciem i pomimo głośnych utyskiwań całego towarzystwa pozostała w domu. Zajęcia istotnie było nie mało, lecz skoro tylko dom opustoszał, zajrzała do pokojów o tyle tylko, aby wszystko na klucz pozamykać, uchyliła jeszcze drzwi do pokoju babki, a przekonawszy się, że spi, wyszła na palcach cichutko i przez werandę zeszła do ogrodu.

Łzy ją dusiły; była przejęta goryczą względem samej siebie, swojego losu i wszystkich. Po co powrócił? Nikt go tu przecież już nie oczekiwał. Czy to z niej żarty? Wyraźnie chce powiedzieć: nie dbam o ciebie. Owszem, tem lepiej, tem lepiej! Powinno co najprędzej wszystko się skończyć. Co się skończyć? Już przecie wszystko raz na zawsze skończone. Lecz nie ma prawa jej lekceważyć, nie powinien żadną wzmianką nawet dotykać tego, tembardziej przechwalać się. Przyjemna podróż — a! mógłby sobie pozostać dłużej w przyjemnej podróży... A ona myślała...

Nie! trzeba być aż tak naiwną, aż tak dalece nieznającą ludzi, aby przypuszczać, iż taki człowiek czuć prawdziwie potrafi... A jednak, oczy jego tyle mówiły. Przyjemna podróż? O, nie, oczy co innego mówiły; takiego wejrzenia przecież udać nie można, ani takiej męki, ani niepokoju. Ach, on oczyma umie wszystko powiedzieć, co harde usta przed ludźmi kłamią.

Boże, Boże! po co on wrócił! Była się już przyzwyczaiła do myśli, że nie zobaczy go nigdy. Przecież byłoby to lepiej, aby się nie widzieli nigdy. Rozstali się raz na zawsze, między nimi nic wspólnego być nie może, nic, nic... Wypogadzało się w niej już i cichło; a teraz oto znowu walczyć musi z chaosem myśli, które wirują jej w głowie, z bólem, który odrodzony powstaje silniejszy i śmielszy i jeszcze — tak jest na nieszczęście — walczyć jeszcze musi z najstraszniejszym swym wrogiem, z najsilniejszym — z pokusą.

Od czasu do czasu niby w rozciętej błyskawicą chmurze, ukazywał się obraz cudny, jak sen z zaświatowej krainy; serce rwało się ku niemu i oddech w piersiach zamierał, a chociaż wnet surową myślą go tłumiła, wspomnienie wizji, jak zapach zerwanego kwiatu zostawało. I właśnie te obrazy z za chmur czyniły ją najbardziej nieszczęśliwą. Więc także jest słabą, istotnie maluczką duchem, jeśli ją kusić może to, co z wiarą jej przekonań wbrew idzie? Czy może gotowa zaprzeć się wszystkiego i iść na oślep, kędy porywa ją serce? Gdyby została jego żoną, czemże byłoby jej życie? Upływałoby bezczynnie, gdzieś na dalekim krańcu Europy, w ziemi wygnania, wśród obcości i ciemnoty otaczającego barbarzyństwa. A jej prace w kraju i dla kraju? A te „zagony“, które ukochała, na których żyć pragnie, aby nieść dla nich pracę swoich dłoni, światło swoich oczu, promienie swojej myśli? Ma to porzucić wszystko i stanąć u boku człowieka, który nawet jej, drobnej, nie dorósł miary? I to jedynie za kuszące widmo szczęścia, w które jak królowa w płaszcz się ubierze, a który w rzeczywistości dla niej, wiedzącej o tem, będzie podszyty złudą i odstępstwem?

Snuła bolesne swe dumy, przytulona do poręczy ławki, osłonięta z góry namiotem szerokolistnej, miodem woniejącej lipy. Smutne oczy biegły w daleki krajobraz, rozścielający się u jej stóp; ale żaden ze szczegółów, ani zielony atłas łąki, ani wpółzżęte pasy łanów, ani wzgórza umajone gajem, ani piękna tafla stawu modra i lśniąca z ogromnem słońcem jak złota róża na łonie — nic nie przykuwało do siebie jej oka. Była bezbrzeżnie smutna i myślała, że życie jest wielkim ciężarem, często za ciężkim na słabe siły dziewczęce.

A kiedy słońce zaszło i przeciągnął miękki, pieszczący powiew, kiedy woń lip rozlała się jak słodkie marzenie, a z pobliskiego łanu zaświergotała z cicha przepiórka i kędyś od stawu przeciągle zakwiliły kuliki, dziewczynę zdjęła nagle rzewność i tęsknota bez granic. Po przebytych godzinach walki niespokój w niej zapanował, a zbudziła się żywa boleść i smutek niemający granic. Widziała siebie obcą całemu bogactwu i wszystkiemu szczęściu przyrody, jakby wyjęta z ram tego świata, gdzie piękno i szczęście ma niepoślednie miejsce przy bogato zastawionym stole. Ogarnęło ją poczucie samotności i pustki i myślała, że nie zmoże w sobie nigdy swego bolu, ani ukoi tęsknoty... Przymknęła oczy, głowę o poręcz wsparła i chciała już nic nie czuć, o niczem nie myśleć.

I piękna jej głowa z zamkniętemi powiekami, z rysunkiem czarnych rzęs na pobladłych policzkach i boleśnie ściągniętemi wargami wydawała się bardziej rzeźbą zastygłego bolu, niż obrazem rozkwitłego dziewczęcia.

Taką przynajmniej być się zdała oczom wpatrzonego w nią Gromskiego. Od kilku chwil stał przed nią i zrazu z przerażeniem, a teraz z zlitością dochodzącą do bolu patrzał na nią.

Jak się to stało, że wrócił wcześniej od innych, że przyszedł tu prosto, zamiast błądzić gdzieś indziej, o tem powiedzą chyba te tajemnicze siły, które nieznanemi drogami, niewiadomemi środkami prowadzą ku sobie dwoje, co jedno stanowić muszą.

Zbliżył się do niej i po cichu wyszeptał jej imię.

Drgnęła, otwarła oczy, przerażenie przebiegło jej rysy i powstała, chcąc odejść.

Zatrzymał ją.

— Nie bój się pani, nie będę ci dokuczał — rzekł z goryczą; ujął obie jej ręce i zniewolił, aby znowu usiadła.

Żywy rumieniec pokrył jej policzki i czoło; nie wyrzekłszy ani słowa usiadła znowu na ławce.

Zajął obok niej miejsce.

Chwilkę trwało milczenie, podczas którego badał tylko ją wzrokiem, a potem zaczął stłumionym głosem:

— Uciekłaś pani odemnie i nie przychodzę błagać cię o łaskę. Chciałem tylko przekonać się, czy czujesz się pani bardzo szczęśliwą, żem ustąpił ci z drogi? Wróciłem, aby zobaczyć, jak dalece cieszysz się myślą, że mnie już nie spotkasz nigdy, że cierpieć mogę, że to przecież wielki ból, który z lekkiem sercem zadałaś... A może pani się zdaje, że stanęłaś wyżej przez to, że jak robaka zdeptałaś człowieka, zniweczyłaś jego szczęście, kazałaś mu patrzeć w ciemność i żyć z dnia na dzień...

Mówił nie patrząc na nią; wyrzucał z siebie gorycz, co nagromadziła się w nim przez długie tygodnie i piekła w piersiach rozkładającą się raną. Ona zaś oczy na twarz jego podniosła i po ruchliwych jej rysach przelatywały ognie przerażenia, to smutku, to zaś głębokiej skruchy. Zdawało się, że lada chwila, przestanie nad sobą panować i z wybuchem rzuci się ku niemu.

— Za wiele nas dzieli, powiedziałaś pani, lecz co właściwie? nie raczyłaś objaśnić; nie sądziłaś mnie być godnym, lub myślałaś, że nie potrafię cię zrozumieć.

— Tego nie myślałam — wtrąciła cicho.

— Winienem być wdzięczny — odrzucił z goryczą. — Lecz chciałbym wiedzieć i myślę, że wolno mi tego żądać, chciałbym wiedzieć gdzie

leżą te straszne różnice, które nas tak nieprzeparcie rozdzielają?

— W przekonaniach i celach — mówiłam już panu.

— Dlaczegoż pani przypuszczasz, że nie dałbym ci żyć, jakbyś chciała, że zostawiłbym ci tyle samodzielności, iżbyś postępowała i zajmowała się jak i czem chcesz? Nie jestem despotą.

— To jeszcze nie wszystko.

— Cóż więcej?

— Myślę — rzekła, szukając słów i rumieniąc się zlekka — że to bardzo jest trudno żyć z kimś blisko, jak z przyjacielem i prowadzić zupełnie odrębne życie; mieć świat swój własny, a ten drugi miałby swój, inny; pracować, troszczyć się i cieszyć nad tem, co drugiego bynajmniej nie obchodzi i nie módz nigdy z nim się podzielić tem, czem sama żyję... To bardzo ciężko. A oprócz tego — zarumieniła się silniej jeszcze — nie módz nigdy powiedzieć sobie, w tem co jest najświętszem, co uważam za największy nasz obowiązek, nie módz nigdy powiedzieć sobie z dumą: to zrobił, tak postąpił ten, który mi jest najdroższym...

Ostatnie słowo w szepcie się rozpłynęło, lecz mimowoli mówiącej miało ton najsilniejszy i najdłużej brzmiało. On drgnął cały, pochylił się ku niej, ujął jej rękę i przylgnął do niej spragnionemi ustami. Pierś mu zadrgała głuchem łkaniem.

— Walu, Walu! — wyszeptał. — Przecież innej żony nie chciałem nigdy, jak takiej, z którąbym żył jedną duszą, któraby do dobrego mnie wiodła i chwałą moją cieszyła się. Tak, — mówił dalej gorąco, patrząc na nią oczyma płonącymi jak żużle — jest między nami różnica, lecz nie ta, o jakiej myślisz.

Od marzeń mojej młodości jam odbiegł daleko, to prawda; ale ja znam to wszystko, pani wiesz, i ja to cenię. Nieraz żal mię bierze, żem już tak daleki, że nie żyję taką myślą jak niegdyś i trwonię życie, rzucam je strzępami Bóg wie na co i po co... A właśnie dlatego pani dla mnie jesteś tem droższa, żeś inna odemnie, że wierzysz jeszcze i pragniesz; dla tego przy tobie jaśniej mnie i uczciwiej, i wierzę, iż z tobą nie zatraciłbym siebie do reszty. Prawda, jestem szaleniec, jestem nieraz jak burza dziki; aleś ty dobra i orla, czujesz wiele i zrozumiesz wiele; jak na zwierza rękę na mnie położysz i pójdę do twoich kolan jak zwierz uśmierzony.

Tak, wiem, jam może nie wart pani; ja żyłem dużo, a pani duszę masz czystą; ale przez to żeś taka, toś mi nad wszystko miła i bez ciebie ja nędzarz i człowiek zgubiony, któremu lepiej może głowę o mur rozstrzaskać!

Pochylił głowę na ręce i zapadł w długą zadumę.

Ona siedziała w milczeniu. Przeżywała dziwną chwilę. Jakiś świat nowy otworzył się nagle przed nią. Czuła, że kocha go wielką, niespożytą miłością i oto chciałaby oddać wszystkie swe siły, całą troskliwość swej duszy, iżby tego ukochanego człowieka uczynić takim, jakim go widzieć pragnęła, iżby wszedł z nią razem w świat jej przekonań, w krąg jej myśli. I czuła, że zdoła to spełnić! Uwierzyła, że miłość da jej sił dostatecznie, aby wziąść jego duszę na ręce i wynieść ją na drogi jasne, ku celom wielkim. W jednym krótkim błysku dostrzegła to zadanie, lecz zdało się jej być jasne i proste jak prawda. Jak prawdę przyjęła je bez wahania, bez żadnych sprzecznych głosów wewnętrznych.

Patrzała na jego pochyloną głowę, trapioną wielkim smutkiem, przejętą do głębi rozpaczą i chociaż oczy jej zachodziły łzami, na ustach rozjaśniał się uśmiech. Czyniła w sobie przysięgę, że nie opuści go na wieki i razem pójdą ku pracy i dobru i modliła się w duchu, aby Bóg dał jej siły ku temu

Chciałaby coś przemówić, lecz jakaś moc od niej silniejsza, jakieś bezbrzeżne szczęście tak wypełniło jej duszę, że słowa na ustach zamarły.

On po długiej chwili podniósł ciężką swą głowę, wstrząsnął zlekka włosami i zwrócił na nią spojrzenie pełne żaru, wyrzutów i bolu.

Lecz ona uśmiechała się rzewnie i promieniała szczęściem.

Drgnął, spojrzał na nią badawczo raz, wyprostował się, znów spojrzał, tchu nabrał piersią i krew zaczęła mu przypływać do twarzy.

Uśmiechnęła się raz jeszcze i mrugnęła rzęsami, jakby mówiła: »tak, jam twoja!«

— Walu! — wykrzyknął, odchodząc niemal od zmysłów, otworzył ramiona i garnącą się ku niemu, pełną łez i uśmiechów, zamknął w objęciach.

A wieczór zapadał. Cisza spłynęła wielka, iż uderzenia serc słyszećby w niej można. Cieniste gałęzie lipy chyliły się nad ich głowami macierzyńsko i woń lipowego kwiecia spływała wielkiem tchnieniem, słodka jak upojenie.

Gwiazdy rzęsiście już płonęły i purpurowy pas na zachodzie ćmić się i w mgłach rozpływać począł, kiedy powstali z ławki, a idąc zwolna, ręka w rękę, w tajemnicze mroki aleji, kończyli długie swe szepty.

— Nie wiem — mówiła Wala — może spełniamy szaleństwo, może będziemy niedobrani, ale ja wszelkiemi siłami starać się będę, aby tak nie było, aby było dobrze i może nam się uda.

Głowę przychyliła i w twarz mu z pieszczotą zajrzała.

Ścisnął silniej jej rękę i pochylając się ku niej, rzekł poważnie:

— Uda się złota moja; bo między nami jest mocna i niespożyta potęga, która wielkich rzeczy dokonywa, jest wielka miłość...

Wanda Dalecka.

BRACIA MAŁEGO MOWGLI

przez **Rudyarda Kiplinga.**

Przekład z angielskiego.

— Zabijać nagie stworzenie, to wstyd wielki! — przekładała Baghera. — Zresztą ten malec, gdy dorośnie może wam oddać wielkie usługi. Baloo przemawiał za nim. Ja do słów Baloa dorzucę wołu, i to tłustego — leży zabity stąd o pół mili. Czy są jeszcze jakie trudności w przyjęciu tego bąka do gromady?

Podniósł się wielki wrzask. Wołano:

— Żadnych! Co on nam przeszkadza. I tak deszcze zimowe zatłuką tego bębna, letnie słońce go spali. Co taka goła żaba może nam zrobić? Niech tam sobie goni z gromadą. Gdzie wół! Przyjmujemy!

I znowu rozległ się donośny głos Akeli:

— Rozważcie dobrze, o, wilki, dobrze rozważcie!

Mowgli bawił się wciąż kamykami i nie zwrócił nawet uwagi, że wilki jeden za drugim podchodzą i przypatrują mu się bacznie.

Wreszcie wszystkie zbiegły ze wzgórza i pognały po zabitego wołu. Pozostał tylko Akela, Baloo, pantera i rodzina wilcza z jaskini.

W głębi puszczy słychać było groźny ryk Shere Khana, bo Shere Khan był wściekły, że mu nie oddano małego Mowgli.

— Rycz, kuternogo, rycz! mruknęła między zębami Baghera. — Zaryczysz ty na inną nutę, jak ten golasek podrośnie, albo ja się nie znam na ludziach.

— Dobrze się stało — oświadczył Akela. — Ludzie i ich dzieci są mądrzy. Ten mały może nam się kiedyś przydać.

— Istotnie — wtrąciła Baghera — w chwili danej może nam oddać usługi. Wszak nikt nie zdoła przodować gromadzie przez całe życie.

Akela nic na to nie odrzekł. Myślał o chwili, która przychodzi na każdego przodownika, o chwili, gdy on z sił opada, aż nareszcie musi ginąć pod zębem wilków i ustąpić miejsca nowemu wodzowi, który tak samo bywa zabity w swoim czasie.

— Bierz go — rzekł do ojca Wilka — a zapraw go do łowów, niech nie robi wstydu gromadzie.

W taki to sposób Mowgli wszedł do gromady Wilków Seconee, kosztem jednego wołu i jednego dobrego słowa Baloa.

. . . .

A teraz, czytelniku, musisz przeskoczyć lat dziesięć, a może nawet dwanaście i własną wyobraźnią odtworzyć sobie dziwne życie małego Mowgli pośród wilków, bo gdybym chciał to opowiadać, musiałbym kilka książek zapisać.

Rósł więc razem z wilczętami, choć one, rzecz nataralna, wyrosły na dużych wilków, gdy on był jeszcze dzieckiem; a ojciec Wilk uczył go swojego fachu i tłómaczył mu znaczenie wszystkiego, co było w dżungli, tak, że wreszcie, drżenie trawki, powiew ciepłego wietrzyku wśród nocy, odgłos puszczyka, szelest kory pod pazurem nietoperza, były mu zrozumiałemi dźwiękami i miały dla niego doniosłość taką, jak dla urzędnika jego biurowa robota lub dla aferzysty kursa giełdowe.

W chwilach wolnych od nauki, Mowgli wylegiwał się na słońcu, potem jadł i zasypiał. Gdy czuł się brudnym lub gdy mu było gorąco, kąpał się w leśnych sadzawkach; a gdy mu brakło miodu — Baloo wyłożył mu, że miód i orzechy są równie smaczne, jak padlina — to właził po nie na drzewa, a Baghera pokazała mu, jak się to robi.

Kładła się na gałęzi i wołała:

— Chodź-no tu, braciszku.

I Mowgli zaczynał się piąć powoli, ostrożnie, czepiając się sęków, ale z czasem wprawił się i przeskakiwał z gałęzi na gałęź, jak małpka.

Zajął należne sobie miejsce na Skale Rady i tam właśnie zmiarkował, że patrząc wilkom prosto w oczy, zmuszał je spuszczać ślepie: więc robił to dla zabawki.

To znowu wyciągał kolce z szerści i z łap swoich przyjaciół, bo wilkom dokuczają bardzo kolce, zbieranę po drodze w zaroślach.

Nocami schodził ze stoków góry, zapuszczał się na grunta uprawne i podglądał wieśniaków w ich szałasach, ale nie ufał ludziom, bo mu Baghera pokazała skrzynię kwadratowę z ruchomą klapą, ukrytą w zaroślach i objaśniła, że to pułapka.

Nadewszystko jednak lubił zapuszczać się z Bagherą w ciemne jądro lasu i wysypiać się tam dniami całemi, a gdy noc nadeszła, patrzeć jak Baghera rzucała się na swoją zdobycz, pożerając, co jej pod łapę wpadło, a Mowgli robił tak samo z jednym tylko wyjątkiem.

Skoro doszedł do rozumu, Baghera wytłómaczyła mu, że nie powinien nigdy porywać się na bydło, albowiem został wykupiony kosztem wołu.

— Dżungla jest twoją — mówiła Baghera — możesz w niej mordować i zabijać wszystko, co

się da zabić i zamordować; lecz przez pamięć na wołu, który cię wykupił, nie powinieneś ani zabijać, ani zjadać żadnego bydła. Takie jest prawo dżungli.

Rósł prędko i sił nabierał, jak przystoi na chłopca, który do szkół nie chodzi i nie myśli o niczem, jak tylko o spaniu i jedzeniu.

Matka Wilczyca ostrzegała go nieraz, że Shere Khanowi ufać nie należy i że kiedyś, on, Mowgli, będzie musiał zgładzić Shere Khana.

Młody wilczek byłby pewnie pamiętał taką przestrogę w każdej chwili swojego życia, ale Mowgli zapomniał, bo był chłopcem, a jednak sam siebie nazwałby wilkiem, gdyby umiał mówić w jakimkolwiek ludzkim języku.

Mowgli co krok na drodze swojej spotykał Shere Khana.

W miarę, jak wódz Akela chylił się ku starości i tracił siły, kulawy tygrys przyjaźnił się coraz bardziej z młodszemi wilkami z gromady; ciągnęły za nim tłumnie, zjadając jego niedogryzki, na co Akela nigdyby nie pozwolił, gdyby miał dawną przewagę.

Shere Khan im pochlebiał: dziwił się, że tak piękni i młodzi łowcy pozwalali nad sobą przewodzić zdechlakowi wilkowi i człowieczemu dziecku.

— Powiadają mi — mówił — że wy tam wszyscy na radzie, nie śmiecie mu spojrzeć prosto w oczy.

A młode wilczki mruczały i szerść jeżyły.

Baghera, zawsze na wszystko czujna i wszystko wiedząca, zasłyszała i o tem i ostrzegła małego Mowgli, że Shere Khan przy pierwszej sposobności go pożre.

A Mowgli śmiał się i odpowiadał:

— Mam za sobą całą gromadę, mam ciebie... i Baloa, a on, choć bardzo leniwy, zechce machnąć łapą raz i drugi w mojej obronie. Czemuż mnie straszysz?

Aż pewnego dnia upalnego, nowa myśl zaświtała w głowie Baghery.

Było to w puszczy. Chłopak leżał na pięknem futrze pantery, a ona mówiła:

— Ileż to już razy ostrzegałam cię, braciszku, że Shere Khan jest twoim wrogiem?

— Tyle razy, ile jest orzechów na tej palmie! — zawołał Mowgli, który, rzecz prosta, liczyć nie umiał. — No i cóż tam jeszcze? Spać mi się chce, Baghero, Baghero, Shere Khan puszy się i pełen zawsze próżnych przechwałek, na podobieństwo pawia Mor.

— Nie czas teraz na spanie — oburzyła się pantera. — Wie o tem Baloo, wiem ja, wie cała gromada, wiedzą nawet te głupcy jelenie... Sam Tabakwi ci to powiedział.

— Ho ho! — zaśmiał się Mowgli. — Tabakwi przyszedł do mnie niedawno i prawił zuchwale, że jestem człowieczym bachorem, golasem, że nie dam się nawet do wygrzebywania trufli... Ale ja chwyciłem Tabakwię za ogon i chłosnąłem nim dwa razy o palmę, żeby go rozumu nauczyć.

— Zrobiłeś wielkie głupstwo, bo choć Tabakwi jest plotkarzem, jednak wszczynał sprawę, tyczącą twojej skóry. Otwórz więc oczęta, braciszku, i słuchaj: Shere Khan nie śmie cię zagryść w dżungli, ale to sobie zapamiętaj, że Akela już stary, że niebawem nadejdzie chwila, w której nie będzie mógł zadusić kozła, a wtedy przestanie być przewodnikiem i wodzem gromady. Niejeden wilk, który cię oglądał, gdyś był przedstawiony na Radzie, już się także zestarzał, a młode wilki myślą — Shere Khan im to wyłożył — że dziecko człowiecze nie jest na swojem miejscu w gromadzie wilków. Niebawem wyrośniesz na człowieka zupełnego.

— A cóżby to był za człowiek, któryby nie trzymał ze swymi braćmi? — rzekł Mowgli. — Wzrosłem w dżungli, byłem jej prawom posłuszny, nie masz jednego wilka, któremubym z szerści lub z łapy jakiego kolca nie wyciągnał. Wszyscy są mymi braćmi.

Baghera rozłożyła się w całej długości i oczy przymknęła. (Dok. nast.)

Z pism i książek.

Veto. Dwadzieścia lat walki proletarjatu polskiego. I. Zabór rosyjski. Lwów. Nakładem H. Kułakowskiego. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego 1899.

Broszura p. Veto chce ująć w krótki i popularny sposób historję socjalistycznego ruchu robotniczego w ziemiach polskich, pozostających pod panowaniem Rosji, t. j. przedewszystkiem w Królestwie Polskiem. Historję swą zaczyna autor od r. 1878, t. j. od pierwszych aresztowań za socjalizm w Warszawie. Jako broszura agitacyjna odznacza się książka p. Veto szczerym rewolucjonizmem w kierunku emancypacji klasy robotniczej z nawiązaniem do postulatu niepodległości Polski. Jestto podłoże programu i działalności dzisiejszej partji socjalistycznej w Królestwie Polskiem, t. zw. P. P. S., której gorącym zwolennikiem jest autor broszury. Podłoże to ma z natury rzeczy charakter głównie idejowy; czy i o ile odpowiada ono bieżącym warunkom emancypacyjnej walki proletarjatu polskiego w Królestwie Polskiem — na to w agitacyjnej broszurze Veta nie znajdujemy odpowiedzi i ze względu na cel broszury znaleźć go nie mogliśmy. Inna rzecz, że ujęcie faktycznego rozwoju socjalizmu robotniczego w Królestwie Polskiem w liczby ilustrujące jako tako ruch robotniczy jest — sądzę — rzeczą mało możliwą w braku danych faktycznych, trudnych do zebrania w kraju, pozbawionym form politycznych — konstytucyjnych. *Dr. K. J. Górzycki.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.